Obcy w antykwariacie

Jolanta Maria Kaleta

Jolanta Maria Kaleta
„Obcy w antykwariacie”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2013
Copyright © by Jolanta Maria Kaleta, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok
Projekt okładki: Anna Pereświet-Sołtan (pracownia@klimaciarnia.pl)
Zdjęcie okładki © Stanisław Karolewski, http://www.szarlatan.pl/

ISBN: 978-83-7900-085-2

Wydawnictwo Psychoskok
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Dla mojego Męża

Spis treści

Lądowanie w strefie „Zero” 5
Spadek 14
Antykwariat 23
Ostateczna decyzja 27
Pierwszy klient. 32
Ada Majska 44
Plastikowy papier 49
Brakujące pierwiastki 58
Sen wariata 65
Prezent 72
Propozycja do odrzucenia 78
Ulica, której nie ma. 82
Liana duszy 89
Migmozorium i rawanestran. 98
Herbata z telepatyną 105
Pościg 109
Meteoryt jak ziarnko piasku 116
Coś na kaca 121
Piramida 127
Rozbój na ulicy 133
Błękitna księga. 138
Narkotykowy diler 146
Curandero z Iquitos 156
Adara Ypsylon 164
Przesłuchanie 170
Ucieczka 184
Tybetański muffin 190
Kiejkuty. 197
Kosmiczny laptop 207

Folder ze zdjęciami 214
Strzykawka z ubiquityną. 217
Hala Stulecia. 223
W szpitalu. 235
Ostrów Tumski 240
Plan Breslau 249
MMS do majora. 255
Wzgórze Partyzantów. 259
W stronę Adary Ypsylon 267
Top Cosmic Secret 272
POSTSCRIPTUM. 280

MOTTO

„Podczas ćwiczeń Układu Warszawskiego stacja radiolokacyjna w rejonie Warszawy namierzyła dwa cele nad Zatoką Gdańską. Poruszały się z prędkością 2300 km/h na wysokości 20 tys. metrów. W tych czasach nie istniał żaden samolot o takich osiągach. Co jeszcze dziwniejsze, w pewnym momencie oba obiekty zrobiły zwrot o 90 stopni. Dosłownie w miejscu, bez żadnego promienia skrętu. Takiego manewru na tak dużej prędkości nie da się wykonać. Nie są w stanie zrobić tego nawet współczesne, najnowocześniejsze samoloty. A co dopiero 50 lat temu".

Z wypowiedzi pułkownika Ryszarda Grundmana

Płk dypl. pil. Ryszard Grundman – pilot myśliwski, jeden z pierwszych polskich pilotów samolotów odrzutowych. Był dowódcą I Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa" i szefem Służby Ruchu Lotniczego Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju. Obecnie w stanie spoczynku.

Lądowanie w strefie „Zero”

– Już jest… – szepnął major Henryk Kwiatkowski do stojącego tuż obok niego kapitana Adama Frendly, prawie dwumetrowego dryblasa, jak przystało na oficera armii USA.

Major Kwiatkowski nie miał jednak powodów do kompleksów – 185 centymetrów wzrostu i szczupła, wysportowana sylwetka mogła być wzorem dla wielu oficerów, nawet tych amerykańskich.

– Jest… – potwierdził z satysfakcją kapitan Frendly, nie odrywając oczu od monitora, na którym przesuwał się czerwony punkcik i poprawił na sobie ciężką, niewygodną kamizelkę kuloodporną.

Akcja, którą obaj dowodzili, była zbyt niebezpieczna, aby mogli sobie pozwolić na lekceważenie przepisów, a te nakazywały daleko idącą ostrożność. W końcu nikt nie miał najmniejszego pojęcia, kto lub co wysiądzie z tego obiektu. I w jakim celu. Musieli być przygotowani na każdą ewentualność. Nie mogli nawet wykluczyć, że ta ciężka i krępująca ruchy kamizelka kuloodporna okaże się psu na budę. Cholera wie, czym Obcy dysponowali? Przy tak rozwiniętej technologii mogli zabijać nawet spojrzeniem jak Bazyliszek.

W głosie obydwu oficerów dało się wyczuć podniecenie, które zawsze spada na człowieka w chwili oczekiwania na rzecz niezwykłej wagi lub kiedy mają zrealizować się długo oczekiwane plany. Teraz właśnie taki moment miał nadejść. Od 1947 roku, od słynnego wydarzenia w Roswell, rząd amerykański prowadził super tajne badania nad pojawiającymi się jak grzyby po deszczu Niezidentyfikowanymi Obiektami Latającymi. W krótkim czasie, głównie dzięki wszędzie wpychającym swój wścibski nos dziennikarzom, przyjęła się dla nich nazwa UFO – skrót od pierwszych liter w języku angielskim. Z roku na rok, a nawet

można powiedzieć, że z dnia na dzień rosły lawinowo relacje, często poparte zdjęciami dostarczanymi przez zwykłych obywateli zaniepokojonych tymi zjawiskami. Oficerowie Wydziału Operacyjnego Wywiadu Powietrznego USA, zwanego w skrócie AIRD, działającego przy Departamencie Obrony, opracowywali kolejne projekty, które miały przybliżyć ludzi, a konkretnie Amerykanów, do rozwiązania tej zagadki. Rozpalała ona umysły polityków i zwykłych zjadaczy chleba na całym świecie. Dzieliła społeczeństwa na dwa obozy. Jeden skupiał tych, którzy święcie wierzyli, że latające spodki to statki kosmiczne obcej cywilizacji, że tajemnicze kręgi w zbożu to próby nawiązania z Ziemianami kontaktu, że starożytne cywilizacje były ich dziełem, że rząd już wszystko wie, jedynie trzyma to w tajemnicy przed obywatelami, żeby nie wpadli w panikę, bo Obcy byli dla ludzi niebezpieczni. Drugi obóz tworzyli ci, którzy podśmiewali się po cichu, a czasami całkiem głośno, nazywając podobne koncepcje teoriami spiskowymi lub, bardziej dosadnie, bredniami chorych umysłów. Na tych pierwszych żerowały liczne wydawnictwa publikujące tygodniki, miesięczniki czy książki traktujące o UFO i innych zjawiskach nadprzyrodzonych nie mających nic wspólnego z kościołem i religią, tą czy tamtą. Zarabiali na tym całkiem niezłe pieniądze, a niektórzy autorzy zdobywali międzynarodową sławę. Jak grzyby po deszczu mnożyły się odnajdywane pseudo-dowody na wizyty Obcych. Przytaczano niewyjaśnione zjawiska, Trójkąty Bermudzkie, zaginione Atlantydy, kuliste pioruny, widmowe światła, deszcze ryb czy żab, powoływano się na katastrofę tunguską, a na „rodsach", czyli obiektach tak szybko latających, że widocznych jedynie na stop-klatce, kończąc.

Gwoli ścisłości należałoby dodać, że ten drugi obóz był w mniejszości i nikt spośród jego przedstawicieli nie zyskał rozgłosu i nie zbił majątku na krytyce wiary w UFO. Niezmiernie trudno jest udowodnić, że nie ma tego, czego nie ma. Znacznie łatwiej przekonać wszystkich lub przynajmniej znaczną część,

że coś jest, choć nie ma na to dowodów. Identycznie jak w sporze między wierzącymi a ateistami. Albo się wierzy, albo nie. Można w ostateczności podążyć za Sokratesem i jego – „Wiem, że nic nie wiem".

Kiedy lawinowo następujące od 1989 roku przemiany polityczne w Europie doprowadziły do rozszerzenia NATO i pozyskania przez USA kolejnych sojuszników, przed AIRD pojawiły się nowe możliwości. Do tej pory tereny takich krajów, jak chociażby Polska, kontrolowane były całkowicie przez armię ZSRR, która problemem UFO była zainteresowana nie mniej niż jej zimnowojenny przeciwnik – USA. Rywalizacja na tym polu przybrała tak monstrualne rozmiary, że część dziennikarzy, tych poważniejszych, a także tych zwykłych pismaków, z włoska zwanych paparazzi, coraz częściej bąkała, że to nie żadne UFO lata nad Ziemią, lecz nowoczesne urządzenia zwiadowcze. Toteż nic dziwnego, że jak tylko stało się to możliwe, AIRD przystąpił do pracy na tym nowym dla siebie terenie. I znalazł tu bardzo życzliwe wsparcie i fachową pomoc. W końcu Polska to ojczyzna Mikołaja Kopernika i Aleksandra Wolszczana, a to zobowiązywało.

Od dobrych kilku lat prowadzono w tajnym ośrodku we Wrocławiu, który mógł się poszczycić nowoczesnym planetarium i uniwersyteckim zapleczem, zakrojone na szeroką skalę prace badawcze, poszukiwawcze i obserwacyjne. Ich owoce, major Kwiatkowski z 4 Brygady Radiolokacyjnej – zwanej popularnie Czwórką – przy Dowództwie Sił Powietrznych i kapitan Frendly z AIRD, mieli nadzieję właśnie skonsumować. Namierzony kilka miesięcy temu tajemniczy obiekt latający, z pewnością nie będący kometą, meteorytem czy czymś w tym rodzaju, zbliżał się do Ziemi i miał wylądować na peryferiach Wrocławia. Wynikało to niezbicie z pieczołowicie wyliczonej trajektorii jego lotu. O ile współpracująca z Czwórką i AIRD ekipa pracowników naukowych Instytutu Astronomicznego z Uniwersytetu Wrocławskiego czegoś nie spaprała. Major Kwiatkowski zaręczał słowem

honoru polskiego oficera, że jakakolwiek pomyłka nie wchodziła w grę. Koniec końców ludzie ci wspierali swoimi mózgami Centrum Badań Kosmicznych PAN. Jednak na dnie jego duszy wykiełkowało maleńkie ziarenko nieufności. Nie takie mózgi przecież opracowały i wprowadziły reformę emerytalną i co? Gawiennoje gawno, jak mawiali jeszcze parę lat temu towarzysze radzieccy. Głośno swoich myśli jednak nie wypowiadał, lecz lojalnie zachwalał rzetelność i fachowość polskich astronomów. Jako miejsce hipotetycznego lądowania wskazali oni nadodrzańskie łąki na Biskupinie, willowej dzielnicy Wrocławia. Czas lądowania określono na godzinę drugą w nocy czasu lokalnego.

W pobliżu strefy „Zero", jak nazwano to miejsce, major Kwiatkowski zgromadził jednostkę sił specjalnych – trzy transportery opancerzone Rosomak z załogą w pełnym uzbrojeniu szturmowym, wóz ewakuacji medycznej oraz wóz zabezpieczenia technicznego, nafaszerowany najnowszą techniką informatyczną od kół po sterczące na dachu anteny. To w jego wnętrzu rozsiedli się obaj oficerowie i na ekranach komputerów śledzili przelot namierzonego obiektu. Otrzymał on nikomu nic nie mówiący kryptonim AY-12.

Major Kwiatkowski kościstym palcem wcisnął czerwony guziczek na pulpicie sterowniczym i stanowczym, choć lekko drżącym z emocji głosem, wydał polecenie:

– Pełna gotowość bojowa!

– Tak jest! – padła odpowiedź, gdzieś z głośnika niewidocznego dla oka.

Major i kapitan spojrzeli sobie w oczy. Porozumieli się bez słów. Polski oficer, jak przystało na gorliwego katolika, uczynił na piersiach znak krzyża i pierwszy opuścił pojazd. Tuż za nim zwinnie wyskoczył kapitan Frendly. Dziarskim krokiem, typowym dla żołnierzy armii zawodowej, podbiegli do jednego z dwóch samochodów opancerzonych i zgrabnie wskoczyli do jego ciasnego i mało przytulnego wnętrza. W zamian za

te niedogodności gwarantował wysoki stopień bezpieczeństwa w razie starcia z nieznanym przeciwnikiem. Major nerwowo poprawiał zbyt obcisły, jego zdaniem, ściągacz pod szyją w combat shirt. Co prawda dzięki tej nowince mundurowej, kamizelka kuloodporna nie uwierała niczym przyciasny pas cnoty, ale major nie znosił wszelkich tkanin termoaktywnych, z których tę nowość wykonano. Kapitan Frendly zdawał się nie zauważać tych niedogodności i lekko rozparty na niewygodnej ławeczce, wymieniał z żołnierzami uwagi na temat akcji, której realizację właśnie rozpoczęli. Jego dowcipne uwagi, rzucane co chwila, wywoływały w szeregowych salwy śmiechu. Kwiatkowski poczuł coś na kształt ukłucia zazdrości na widok luzu i tej swobody, z jaką kapitan poruszał się w polowym mundurze. Major o całe niebo wolał uniform galowy, ale też i lepiej w nim się prezentował. Jeśli jeszcze dojdą generalskie szlify, żadna kobieta nie będzie w stanie jemu się oprzeć. Polowa panterka nie miała w sobie nic ani z elegancji, ani z wojskowego, oficerskiego szyku. Ot, strój w sam raz dla łajzy. No, w końcu Amerykanie, to potomkowie poganiaczy bydła – pomyślał major z odrobiną złośliwości, moszcząc się na skąpej ławeczce.

Kawalkada samochodów, prowadzona przez Rosomaka z oficerami na pokładzie, ruszyła przez pogrążoną we śnie willową dzielnicę miasta w stronę wałów przeciwpowodziowych. Z trudem przepychali się wąskimi uliczkami, przy których pyszniły się rezydencje zamożnych mieszkańców Wrocławia. Po kilku minutach jazdy pokonali wał, zjechali na porośniętą młodą, gęstą trawą łąkę i zajęli z góry upatrzone pozycje. Od szeroko rozlanej Odry ciągnął wilgotny chłód i niezbyt przyjemna woń błota i szuwarów. Delikatny wietrzyk tajemniczo szumiał w tatarakach porastających brzegi rzeki. Jakaś zbudzona ze snu dzika kaczka rozkwakała się w sitowiu, lecz po chwili zawarła dziób i znowu zaległa cisza. Żołnierze w milczeniu, z twarzami usmarowanymi na czarno, w mundurach polowych w tak zwaną panterkę,

w hełmach na głowach wysypali się z pojazdów. Z lornetkami przy oczach obserwowali lecący, zdawałoby się wprost na nich, świecący punkt, rosnący z sekundy na sekundę. Jaśniał zimnym, srebrzystym blaskiem niczym tajemnicza Gwiazda Betlejemska przed dwoma tysiącami lat. Zbliżając się do miejsca lądowania, wytracał prędkość, a wraz z nią intensywność poświaty. Zarówno oficerów, jak i żołnierzy, zaskoczyła kompletna cisza, brak jakichkolwiek dźwięków silników, zazwyczaj ryczących na wysokich obrotach, jak to ma miejsce w przypadku ziemskich pojazdów latających. Widocznie na tym polegała owa wyższość tej cywilizacji. W końcu to oni przybywali na Ziemię, a nie odwrotnie.

Major Kwiatkowski z surowym wyrazem na swojej kanciastej, gładko wygolonej twarzy, warknął do żołnierzy stojących z rozdziawionymi gębami:

– Kryć się! Kurwa…

Momentalnie przypadli opancerzonych ścian Rosomaków, których pokryte maskującymi barwami blachy zlewały się z okolicznymi krzakami, drzewami i zagajnikami. Rozłożyli się plackiem na wilgotnej od rosy trawie, z bronią gotową do strzału, z szeroko rozsuniętymi nogami. W ciemnościach błyskały jedynie białka ich oczu. Major stojąc w rozkroku, tuż obok swoich podwładnych, jeszcze raz przytknął lornetkę do oczu i obserwował szybko zbliżający się punkt. Jaśniał na czarnym tle nieba dziwną, błękitną poświatą. Kształtu na razie nie mógł rozeznać. Tajemniczy pojazd zbliżał się z ogromną prędkością, wirując wokół swojej osi. Nagle wystrzelił z niego snop światła, pomknął w dół i oświetlił przeciwległy brzeg. Major zesztywniał. Gwałtownie uregulował ostrość i wlepił wzrok w rosnący z minuty na minutę jasny kształt. Sprężył się jak do skoku. Do bólu zacisnął szczęki, mało nie popękało mu szkliwo na zębach. Po chwili dramatycznym, trochę teatralnym gestem opuścił ręce wzdłuż tułowia.

– Kurwa mać… – warknął pod nosem. – Zdaje się, że wyląduje na drugim brzegu…

Kapitan Frendly, w maskującym, polowym mundurze, niewidoczny niczym kameleon na tle plamistego Rosomaka, błyskawicznie spojrzał w lornetkę i zastygł w bezruchu. Mięśnie jego szerokiej jak u konia żuchwy pracowały zawzięcie, jak to zwykle miało miejsce w sytuacjach stresowych. Szparko przerzucał gumę do żucia z jednej strony ust na drugą. Gapił się w ten snop światła wypuszczony z pozaziemskiego pojazdu, jakby chciał go zahipnotyzować, aby wylądował tam, gdzie on, oficer najnowocześniejszej armii świata, sobie życzył. Shit… – wymamrotał pod nosem. Po kilku sekundach namysłu podjął decyzję.

– Na drugi brzeg! – rzucił rozkaz w stronę żołnierzy rozłożonych pod osłoną Rosomaków. – Go, go, go! – wrzeszczał, przebierając w miejscu nogami.

– Panie kapitanie! – zawołał dowodzący oddziałem sierżant Pokrowski, zrywając się na równe nogi i prężąc służbiście przed oficerem. Wraz z nim, z ziemi poderwali się żołnierze, spoglądając nieco zagubionym wzrokiem na amerykańskiego oficera. – Rosomaki to nie amfibie!

Major Kwiatkowski natychmiast opanował sytuację.

– Lądem, durniu! Lądem! – wrzasnął na całe gardło i poprawił nerwowym ruchem ściągacz pod szyją. – Przez Most Grunwaldzki, do kurwy nędzy!

Żołnierze w kilka sekund zajęli miejsca w transporterach, a obaj oficerowie biegiem dopadli wozu technicznego. Jeszcze nie zdążył ruszyć, a oni już zatopili czujne spojrzenia w ekranach komputerów i klepali palcami po klawiaturze niczym pianiści na konkursie chopinowskim. Na monitorach pojawiały się w ekspresowym tempie jakieś wyliczenia, cyfry, liczby, wykresy, sinusoidy, hipocykloidy, hiperbole i cała masa innych, więcej lub mniej znanych krzywych matematycznych. Kawalkada opancerzonych samochodów gnała z rykiem silników przez śpiące miasto w stronę mostu Grunwaldzkiego, prowadzącego na drugi brzeg Odry. Puste, wyludnione ulice pozwoliły na pokonanie

tej odległości w błyskawicznym tempie, choć kilka razy jakieś zapóźnione auta osobowe z piskiem opon szukały schronienia na chodniku w obawie, że zostaną staranowane. Za mostem Rosomaki zjechały w lewo, klucząc po krętych uliczkach, nie patrząc na znaki zakazu czy nakazu. Przecież oni byli na służbie i poruszali się samochodami uprzywilejowanymi. Gdy w końcu wtarabanili się na jakąś podmokłą łąkę, Kwiatkowski i Frendly wyskoczyli z wozu zanim ten zdążył się całkiem zatrzymać. Przybyli akurat na ten moment, aby ujrzeć dziwny pojazd, w niczym nie przypominający owych latających talerzy, których wizerunkami epatowano czytelników fachowych czasopism. Miękko, w absolutnej ciszy, migając jedynie fioletowym światłem, wylądował na drugim brzegu Odry. Na tym, który oni tak pośpiesznie opuścili przed kilkoma minutami. Pracownicy Instytutu Astronomicznego wyliczyli jego trajektorię lotu i miejsce lądowania co do centymetra. Jedynie majorowi Kwiatkowskiemu zabrakło odrobiny zaufania do polskich naukowców, a kapitanowi Frendly cierpliwości. Światła pojazdu wygasły i teatr wydarzeń ogarnęły całkowite ciemności.

Major i kapitan gwałtownie przycisnęli do oczu noktowizory i z wściekłością spoglądali na przeciwległy, daleki brzeg rzeki. Przekleństwa polskie i amerykańskie fruwały wokół nich niczym chmara much wokół padliny. Odra, niczym nie zrażona, jakby nie nad jej wodami rozgrywały się te arcyważne wydarzenia, leniwie toczyła swe czarne wody. Jedynie od czasu do czasu zdradliwy wir, w postaci kręcącego się kółeczka, informował, że zanurzenie się w jej nurcie można przypłacić życiem. Kwiatkowski i Frendly ujrzeli po chwili wysiadającego z pojazdu bardzo drobnej budowy osobnika, z krótkimi, czarnymi jak smoła włosami, wyglądającego wypisz wymaluj jak człowiek. Pod pachą ściskał aluminiowy neseser, sądząc na pierwszy rzut oka. Ale nie mogli wykluczyć, że to jakaś super nowoczesna broń. Osobnik, za moment, zniknął w gęstych zaroślach.

– Na drugi brzeg, durnie! – wrzasnął major, wskakując do Rosomaka.

Kapitan Frendly poszedł w jego ślady i już po kolejnych kilkunastu minutach dwa plutony żołnierzy, kierowane przez majora Kwiatkowskiego, przeszukiwały wyznaczony teren strefy „Zero". Poza wypaloną do gołej ziemi trawą na przestrzeni kilku metrów kwadratowych, nie znaleźli nic. Dziwny pojazd, z którego wysiadła owa tajemnicza istota, bardziej przypominająca chłopca niż mężczyznę, ulotnił się jak kamfora.

Spadek

– Proszę podać swoje imię i nazwisko – znudzonym głosem zwróciła się sędzia do młodego mężczyzny stojącego naprzeciw niej, za drewnianą barierką oddzielającą zeznających od stołu sędziowskiego.

– Maksymilian Radwan – odparł głośno i wyraźnie.

– Ile ma pan lat? – padło kolejne pytanie, wypowiedziane przez sędzię jeszcze bardziej znudzonym głosem.

Dyskretnie rzuciła okiem na zegarek i westchnęła ciężko.

– Trzydzieści osiem – mężczyzna dostrzegł ten gest zniecierpliwienia pani sędzi i celowo odpowiedź wymamrotał ledwo, ledwo, gdzieś pod nosem.

Nawet nie zareagowała. Chyba miała gdzieś to wszystko, co opowiadali ludzie stawający dzień w dzień za tą barierką. Same nudne sprawy, pozbawione emocji, omijające szerokim łukiem ludzkie namiętności. Żadnych seryjnych morderców, żadnych gwałcicieli, żadnych handlarzy kokainą. Sprawy takiego Baraniny, Szkatuły czy Masy do jej rąk nie docierały. Od wielkiego dzwonu trafiała się skłócona o schedę rodzinka, piorąca brudy w obecności sędzi i protokolantki. Wywlekali bez zażenowania kto kogo zdradzał, kto pił nałogowo, kto miał dziecko z kochanką na boku, kto nie podał matce szklanki wody na łożu śmierci. Fałszowali testamenty i kłamali jak z nut. Ale nie zdarzało się to na co dzień. Niestety.

– Zawód? – padło kolejne, nieciekawe pytanie i sędzia podparła się na łokciu, jakby zdążyła już wypić kilka głębszych.

Kilka niesfornych loków w kolorze czarno-brązowym opadło na jej czoło i przysłoniło oczy nieokreślonego koloru, coś miedzy piwnym a brązowym.

– Filolog klasyczny – wymamrotał mężczyzna pod nosem. Nie było czym się chwalić.

Ale sędzia, jakby się ożywiła i łypnęła w kierunku mężczyzny zaciekawionym okiem. Dopiero wówczas zauważyła, że miał bardzo piękne włosy – takie kasztanowe, lekko wijące się na końcach, dawno niestrzyżone, w których wiosenne promienie słońca, wpadając przez ogromne okna, igrały rudym blaskiem. Chyba miała ochotę wypytać bardziej szczegółowo na czym taki zawód polegał, ale cały proces sądowy protokołowała siedząca tuż obok chuda brunetka, o mocno uszminkowanych ustach i zadawanie wszelkich pytań nie związanych z tematem, nie wchodziło w grę. Kontynuowała więc dalej rozprawę, podpierając brodę już na obydwu łokciach.

– Miejsce zamieszkaniaaaa? – z trudem stłumiła, choć nie do końca, ziewanie.

– Ulica Strzelecka 80 mieszkania 8 we Wrocławiu – mężczyzna zasłonił usta dłonią i ziewnął dyskretnie.

Sędzia rzuciła okiem w stronę protokolantki, która zwijała się jak w ukropie, aby wklepać pytania i odpowiedzi do komputera. Co chwilę się gubiła i musiała zaczynać zdanie od początku. Gdy denerwujące stukanie klawiszy ustało, sędzia przeniosła wzrok na stojącego za barierką Maksymiliana Radwana i zadała kolejne pytanie:

– Czy wie pan, co jest przedmiotem spadku?

– Tak – padła krótka i zwięzła odpowiedź.

Chyba była zbyt krótka, bo pociągnęła za sobą kolejne pytanie:

– Więc, co?

– Lokal usługowy pełniący do tej pory funkcję antykwariatu, przy rynku we Wrocławiu, wraz z zapleczem mieszkalnym – odparł mężczyzna radosnym głosem.

Sędzia także się ożywiła, dziarsko wyprostowała sylwetkę, wyłaniając się bardziej zza swojego, potężnych rozmiarów, stołu sędziowskiego i spojrzała ciekawie na mężczyznę. Zatrzymała wzrok na miedzianym zaroście okalającym jego wyjątkowo zmysłowe usta – o pełnych, wygiętych w łuk wargach, odsłaniających garnitur białych zębów.

– A, w której kamienicy? – zainteresowała się autentycznie.

– W zachodniej pierzei – wyjaśnił mężczyzna. – Nad bramą jest kartusz ze złotą gwiazdą.

– Aha. Zaraz obok jest ta restauracja „Lwowska", tak? – dopytywała się z ożywieniem.

– Dokładnie – odparł. – Właśnie w tej – poprawił się błyskawicznie.

Nie znosił, kiedy ktoś na każde pytanie odpowiadał „dokładnie". Szlag go trafiał, a teraz sam wypalił jak taki półinteligent.

– Kim był dla pana spadkodawca? – spytała sędzia, sięgając do kolejnego pytania związanego ze sprawą.

– Stryjkiem – padła odpowiedź. – Czyli bratem mojego taty.

Wyjaśnił szczegółowo, w obawie, że nie każdy orientuje się w zawiłościach rodzinnych powiązań i koligacji, tych wszystkich powinowatych i krewnych, wstępnych i zstępnych. Zwłaszcza, kiedy jest się tak znudzonym swoją pracą, jak owa sędzia pokładająca się na biurku niczym uczeń na lekcji religii.

– Czy przyjmuje pan spadek? – zadała kolejne, nudne pytanie, zsuwając się siedzeniem coraz niżej na sędziowskim fotelu, takim z wysokim oparciem, obitym czarną skórą, zapewne wygodnym.

– Tak – odparł krótko Maksymilian Radwan i chrząknął.

– Z dobrodziejstwem inwentarza czy wprost? – spytała sędzia, chyba złośliwie, bo taki właśnie uśmiech zakwitł na jej wąskich jak szparki ustach.

Maksymilian Radwan poczuł się zbity z tropu. Pierwszy raz w życiu cokolwiek odziedziczył, pierwszy raz w życiu znalazł się na rozprawie sądowej i nigdy wcześniej nie spotkał się z takimi określeniami, jakie usłyszał przed chwilą z ust znudzonej pani sędzi.

– To znaczy? – spytał odważnie.

W końcu rozprawa spadkowa, to nie to samo, co rozprawa o morderstwo czy rozbój. Nie poczuwał się do roli oskarżonego.

Płacił podatki i sąd był dla niego, a nie odwrotnie. Tak to sobie przynajmniej wyobrażał.

Sędzia rozparła się wygodnie w swoim fotelu, wyciągnęła nogi daleko w przód, aż wychynęły dołem potężnego stołu i Radwan mógł przyjrzeć się dokładnie jej nowym butom na wysokim obcasie. Chyba dziesięciocentymetrowym. W kolorze czerwonym. Kręcąc kciukami młynka, wyjaśniła starannie na czym polegała różnica w przyjmowaniu spadku „wprost" i „z dobrodziejstwem".

– Więc, jeśli stryjek zostawił jakieś długi, to lepiej przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza – doradziła, kończąc swój wywód.

– Nie, nie – mężczyzna zaprzeczył gwałtownie, potrząsając przy tym głową, aż jego kasztanowe włosy zalśniły miedzią. – Stryjek był oszczędny, żeby nie powiedzieć – chytry. Z pewnością żadnych kredytów nie brał – dodał z całą stanowczością.

– A, więc… – sędzia pochyliła się w stronę protokolantki – przyjmuje spadek wprost.

Rozprawa powoli dobiegała końca. Jeszcze tylko Maksymilian Radwan został pouczony, jakie opłaty i w jakiej wysokości winien wnieść i w której kasie. Do jakiego urzędu się udać w celu dopełnienia formalności i kiedy odebrać uprawomocniony wyrok, a wraz z nim klucze do lokalu. Gdy wyszedł zza drewnianej barierki, napotkał zadowolony wzrok Marzeny, swojej żony. Siedziała w ławkach dla publiczności i wyjątkowo nie odezwała się ani słowem przez całą rozprawę. Może obawiała się, że sędzia wlepi jej karę za obrazę sądu lub stukając młotkiem o blat biurka, nakaże opuścić salę. W sądzie była pierwszy raz w życiu, ale takie sceny oglądała dzień w dzień w kilku serialach telewizyjnych.

Sędzia także opuściła swoje służbowe miejsce, czyli solidny, wręcz przytłaczający rozmiarami stół stojący na podwyższeniu i podeszła do Maksymiliana Radwana z wyciągniętą na pożegnanie ręką. Dopiero, gdy znalazła się na tym samym poziomie co on, dostrzegła, że ma do czynienia z mężczyzną może nie bardzo wysokim, ale dość postawnym, o szerokich ramionach

i sportowej sylwetce. Potrząsając jej dłonią spojrzał na nią swoimi brązowymi oczyma życzliwie, z podziękowaniem. Przypominały w kolorze młode kasztany.

– Czy to prawda, że policja nie ujęła morderców pańskiego stryjka? – spytała już jako osoba prywatna, bez konieczności wpisywania do protokołu.

– Gorzej – odrzekł emocjonalnie. – Doszli do wniosku, że stryj zmarł śmiercią naturalną, tylko nie udało się ustalić przyczyny zgonu.

– Niemożliwe – zaśmiała się sceptycznie. – W dzisiejszych czasach? Nie potrafili?

– Anatomopatolog w dokumentach podał jako bezpośrednią przyczynę zgonu zatrzymanie akcji serca – wyjaśniał fachowo. – Ale nie znalazł przyczyny tego zatrzymania. Stryj ponoć był zdrów jak ryba.

– To z jakiego powodu początkowo podejrzewano morderstwo? – wypytywała dalej, wlepiając oczy w zmysłowe usta Radwana.

– Tego dokładnie nie wiem – wzruszył ramionami. – Powiedzieli, że koszmarny bałagan, te wszystkie poprzewracane regały i porozrzucane książki świadczyły o celu rabunkowym…

– A zginęło coś? – wpadła mu w słowa.

– W tym sęk, że nie wiadomo – uśmiechnął się zakłopotany, że nie może wyjaśnić tej sprawy. – Ale nikt nie potrafił autorytatywnie tego stwierdzić. Stryj prowadził antykwariat od wielu lat, a rodzina nie bardzo interesowała się, czy miał tam coś cennego, czy nie. Byłem jedyną osobą, która utrzymywała z nim bliższe kontakty, ale mnie także nie wtajemniczał w swoje interesy.

– Ciekawa sprawa… – kręciła głową, jakby nie dowierzała jego słowom.

– Śladów włamania też nie znaleźli, ale mógł przecież sam wpuścić mordercę… – odsłaniał przed nią kulisy śledztwa. Zostało już zakończone, więc o żadnej tajemnicy nie mogło być mowy.